

“Powrót do korzeni, czyli jak może wyglądać przyszłość”

Paulina Baranowska, Przedszkole nr 286 w Warszawie

- Wnusiu, a wiesz, że kiedy byłem w twoim wieku chodziłem do szkoły i całe dni spędzałem w ławce?

Maciek popatrzył na dziadka z niedowierzaniem. Właśnie obaj byli zajęci łowieniem ryb. Wokół panowała cisza przerywana pluskiem wody, nad taflą od czasu do czasu przeleciał ptak. Maciek rozróżniał perkozy, kaczki krzyżówki, łabędzie, czaple. W oddali widać było tamę zbudowaną przez bobry. Dziadek pokazał mu ją poprzednim razem. Chłopiec podziwiał niesamowitą budowlę i niezwykłość przyrody. Teraz, kiedy siedział w łódce na środku jeziora i z bliska obserwował toczące się życie nie mógł pojąć, jak można siedzieć w ławce? I to jeszcze w jakiejś, jak to dziadek nazwał? Szkoła?

- Co to jest szkoła? - zapytał dziadek.
- Szkoła to był taki budynek, gdzie przychodziły wszystkie dzieci i uczyły się. Uczyły się różnych przedmiotów: matematyki, muzyki, biologii, historii, chemii, fizyki, wuefu, geografii i wielu innych.

Maciek spojrział na dziadka z jeszcze większym niedowierzaniem. Po raz pierwszy słyszał, że wszystkie dziwne nazwy, a przecież miał już 7 lat i jak na swój wiek był inteligentnym i bystrym chłopcem.

- Pewnie dziwisz się, czego uczyliśmy się w tej szkole - kontynuował dziadek. - Tego wszystkiego, czego ty uczysz się bez siedzenia w ławce.

Maciek podrapał się po głowie. On się czegoś uczy?

- Tak, tak, ty też się uczysz. Nawet teraz - zaśmiał się dziadek. - Na przykład, gdy łowimy ryby uczysz się nazw ryb, ptaków, które mają tutaj swoje gniazda. Kiedyś nazywaliśmy to biologią. Wiesz, jak założyć przynętę i zarzucić wędkę. Gdy jechaliśmy nad to jezioro czytałeś na mapie nazwy miejscowości, sprawdzałeś, gdzie mamy skręcić, co minąć, by się tu znaleźć. To nic innego jak geografia. Po drodze wstąpiliśmy do sklepu po jabłka i lemoniadę. Kupiłeś je z własnego kieszonkowego. Musiałeś policzyć, ile wszystko będzie kosztować, czy nie zabraknie ci pieniędzy i czy pani przy kasie dobrze wydała resztę. To właśnie matematyka. Pamiętasz, jak z tatą robiliście eksperymenty w kuchni? To chemia, a jak wujek Staszek spadł z dachu to była fizyka i prawo Newtona.

Maciek zaśmiał się na wspomnienie tamtego wydarzenia. Wujek wylądował na stogu siana, więc nic mu się nie stało, ale to wydarzenie pozostawiło w jego umyśle ślad w postaci słowa “grawitacja”. Wtedy dobrze zrozumiał, co ono znaczy.

- No dobrze, a ten cały wuef? Czy jakoś tak?
- Wychowanie fizyczne, czyli bieganie, skoki, gra w piłkę, pływanie, wspinanie się itd. To wszystko, co ty i twoi koledzy robicie codziennie na podwórku. A właśnie, jak tam wczorajszy mecz? - dziadek niespodziewanie zmienił temat.

Maciek z rezygnacją machnął ręką.

- Przegraliśmy 2 golami, ale to dlatego, że nasz bramkarz bardziej zajęty był swoją kanapką niż bronieniem, a Szalone Lamparty po prostu były lepsze.
- To rzeczywiście słabo - przyznał dziadek – a wasza drużyna, jak się nazywa?
- Piłkarska Wataha, ale to jeszcze nic pewnego, bo średnio dwa razy w miesiącu zmieniamy nazwę. W przyszłym tygodniu będzie rewanż z Szalonymi Lampartami na miejskim basenie. Wtedy będziemy się nazywać “Gepardy Oceanu”.

Dziadek ze zrozumieniem pokiwał głową. Dzieciaki uczą się rywalizacji, sztuki przegrywania, zasad fair play i dogadywania się między sobą. Z żalem przypomniał sobie, gdy jako dziecko jedyne mecze jakie rozgrywał to były te przed ekranem komputera, a kolegów widział jedynie w szkole. Poza nią nigdy, bo wszyscy siedzieli w wirtualnym świecie. Czy on kiedyś był ze swoim dziadkiem na rybach? Nie, wołał strzelanki komputerowe. Z pewną dozą zazdrości spojrzał na swojego wnuka. Chłopak uczył się w wolności, we własnym tempie, bez przymusowego siedzenia bezczynnie przez wiele godzin. Ktoś kiedyś powiedział, że życie jest najlepszym nauczycielem. Gdy wiele lat temu wybuchła pandemia i wszyscy musieli zostać w domach, zaczął się początek końca. Rodzice siedzieli na zdalnej pracy, a dzieci na zdalnym nauczaniu. Jedni mieli dosyć drugich, a kiedy wreszcie można było wrócić do rzeczywistości, już nic nie było takie jak wcześniej. Etos szkoły, który panował od lat zaczął podupadać. Coraz więcej rodziców wypisywało dzieci ze szkół, twierdząc, że sami nauczą ich więcej i lepiej. Oczywiście, to też nie był najlepszy pomysł, bo zapracowani rodzice nie zawsze mieli czas i cierpliwość, by przerabiać z dziećmi materiał na daną klasę. Wkrótce pojawili się guwernanci (swoją drogą, jak te mody wracają), którzy pełnili rolę opiekunów i przyjaciół. Guwernanci to byli dawniejsi nauczyciele, którzy też mieli dosyć niewydolnego systemu i słabego wynagrodzenia. Teraz mogli uwolnić się od wszechogarniającej biurokracji. Ze swoimi podopiecznymi tworzyli partnerskie relacje, uczyli się od siebie nawzajem, robiąc wiele rzeczy wspólnie. Cieszyli się ogólnym szacunkiem i nie mogli narzekać na wynagrodzenie, bo wszystkim zależało na mądrych i odpowiedzialnych obywatelach, którzy będą pracować z pasją dla obopólnego dobra. Dołączali do nich rodzice, dziadkowie, wujkowie, którzy dzielili się z dziećmi swoją wiedzą, doświadczeniem. Siedzenie w szkolnej ławie zostało wyparte przez wspólne podróże, wycieczki krajoznawcze, gotowanie, pieczenie, majsterkowanie, szycie. Maciek potrafił usmażyć sobie jajecznicę, naleśniki i przyszyć guzik do koszuli. Z tatą zaprojektowali i zrobili domek na drzewie. Ze swoją guwernantką Anną, którą nazywał ciocią Anią odwiedzali muzea, wystawy. Jego siostra pisała wiersze pod okiem swojej guwernantki. Wydała nawet własny tomik poezji, z którego była niesamowicie dumna. A ciasto, które robiły nie miało sobie równych. Zresztą cała rodzina i społeczność lokalna zaangażowana była w edukację młodych. Piekarze uczyli, jak wypiekać chleb, ogrodnicy doradzali w sprawie sadzonek i ochrony przed szkodnikami, pszczelarze pokazywali swoją pracę z bliska. To dzięki takim wizytom Maciek z mamą założyli na osiedlu “dziki zakątek dla zapylaczy”. Dziadek przypomniał sobie, jak pszczoły ginęły, gdy on był dzieckiem. “Wróciliśmy do korzeni i to dało efekty” - pomyślał starszy pan. Z czułością i z dumą spojrzał na wnuka. Słońce chyliło się ku zachodowi. Chłopiec liczył złowione ryby i sprawnie związał wędkę. Za chwilę podpłyną do brzegu, zapakują samochód i wrócą do domu na wspaniałą rybną kolację.

- Coś się stało, dziadku? - Maciek spojrzał na uśmiechniętego seniora.
- Nie, nic. Wszystko w jak najlepszym porządku - odpowiedział dziadek i zwichrzył wnukowi ciemną czuprynę. - Wracajmy do domu. Zaraz mama z babcią będą do nas wydzwaniać, gdzie się podziewamy.
- Masz rację, dziadku - zaśmiał się Maciek.
- Twoja siostra pewnie już upiekła całą blachę swoich słynnych bułeczek z szafranem. Będę doskonale pasowały do naszych ryb. Palce lizać.

Gdy byli już w samochodzie i jechali ekspresówką Maciek powiedział:

- To był super dzień. Może za jakiś czas znowu wybierzemy się na ryby? W wakacje moglibyśmy rozbić na brzegu namiot i gotować na palenisku.
- Męska wyprawa, co? - dziadek uśmiechnął się szeroko. - Masz to jak w banku. Nie mogłeś zrobić mi większej przyjemności, niż to zaproponować.
- Tylko pamiętaj, że w lipcu jadę z ciocią Anią i jej rodziną do kolegi do Belfastu, szlifować angielski.
- Oczywiście, nauka przede wszystkim - zaśmiał się dziadek, a Maciek do niego dołączył.
- Oj, dziadku. Jaka tam nauka. Będziemy razem się bawić, zwiedzać miasto. Tata mojego kolegi, Stevena, ma nas zabrać do Londynu. To będzie super przygoda. Zresztą, jak co dzień.

Starszy pan znowu uśmiechnął się do swoich myśli. Jego wnuk był szczęśliwy, a to przecież najważniejsze.